

Od autora: Tak.

- *Evviva L'arte!* Człowiek zginąć musi – recytuję sobie w myślach, paląc papierosa. Francuski to ładny język, zawsze mi się podobał, stwierdzam, przyglądając się z balkonu ciemności, która przenikła świat do szpiku. Choć ogrzewa mnie przynajmniej pięć ciepłych koców, wciąż trzęsie mną z zimna. Najwyraźniej nie zdążyłem się jeszcze przyzwyczaić do tęgich mrozów o tej porze roku.

Spoglądam za siebie. Wnętrze mieszkania rozświetla mętny błękit ekranu laptopa. Bateria starczy na jakieś cztery godziny dla mnie, klawiatury i przytłumionego Toma Waitsa, nie mam zatem gdzie się jeszcze spieszyć. Ale i tak w końcu zrzucam niedopałek, wracam do środka, rozsiadam się na krześle, biorę kilka haustów wina, płuczę usta przed połknięciem, zacieram ręce i po chwili stukam już w klawisze:

- *Evviva L'arte!* Człowiek zginąć musi...

Wczoraj słońce wzeszło już tylko gdzieś na skraju widnokręgu, by zniknąć za horyzontem, zdaje się, trzy kwadranse później. Mówi się, że możemy odliczać świat w godzinach. W ogóle dużo rzeczy się mówi, wszystko krzykiem, bo szept już znacznie wcześniej stał się dla ludzi zbyt niesłyszalny, by pozostać w użyciu.

Wczesnym popołudniem - zegarek wskazywał szesnastą, ale zmierzało od godziny - postanowiłem, że wyjdę popatrzeć na ludzi. Ubrałem się w ciepłą kurtkę, bo grunt już dawno zdążył stracić sierpniowe ciepło i mimo spekulacji, że minie jeszcze kilka dni, zanim przyjdą mrozy, jakie nam się nie śniły, słupek rtęci na moim jedynym nielektronicznym i całkiem zdezelowanym termometrze zszedł do brze poniżej zera.

Wyszedłem z klatki i poszedłem na południe. Latarnie nie działają już od tygodnia, więc tylko księżyc, latarka, którą dotąd starałem się oszczędzać, i rozgwieżdżone niebo wskazywały mi drogę. Rzeczywistość sama w sobie była wystarczająco rozpaczliwa, ale utknąłem w takim momencie na własnej osi czasu, że prędko przestały na mnie robić wrażenie te wszystkie opustoszałe ulice, rygle w oknach i ludzie – brzydcy, starzy albo ponurzy, bo w zasadzie tylko tacy odważyli się nie zdobyć na to, by choć spróbować uratować swoją skórę. A reszta, jak to ludzie - poszła głucho za głosem setek samozwańczych proroków, zwabiona mglistą perspektywą nadziei na jakieś jutro.

Mijałem kolejne przecznice, wsłuchując się, jak cisze przerywają bardzo już sporadyczne świsty samochodów czy trochę częstsze ludzkie krzyki, które zawsze przebijały się gdzieś z oddali. Nie wszyscy potrafili nadążyć za powszechną rewolucją wartości, nietrudno więc wśród opuszczonych przez ducha domów znaleźć szabrowników. W tym ogonie społeczeństwa, który nie powiódł za grzbietem, zna-

lazło się i miejsce dla tych, co w momencie gdy prawo pisane przestało wiązać człowieka, postanowili wejść *all in* i odkryć w ostatnich chwilach swoją zwierzęcą naturę jak karty na ręce, oddając się rozrywkom prawdopodobnie tak zwyrodniałym, że sama tylko myśl o nich przyprawiałaby cesarza Kaligulę o chłapięcy rumieniec.

Pomyślałem sobie w drodze, uśmiechając się do siebie, że pewnie byłaby to niezła panorama dla socjologów, zbliżający się dzień końca. Tylko że nie ma już chyba socjologów. Ani inżynierów, kioskarzy, prawników (dzięki Bogu, jeśli istnieje!), nie ma lekarzy i rybaków – zostały jedynie ludzkie cienie, a na ziemi miliardy porzuconych masek, które wcześniej te cienie wypełniały, a na ścianach i chodnikach krwią wytarte wspomnienie całej tej paplaniny o przyrodzonej godności człowieka.

No i wśród tych cieni pewien barman; jeden, co nie chciał opuścić swojej życiowej roli, postanowił grać do końca jak orkiestra na Titanicu i zapowiedział, że będzie lał whisky wszystkim, dopóki nie pochłoną go ognie piekielne albo jego goście nie zaczną śpiewać piosenek Abby.

To właśnie przed jego pubem znalazłem się kilka chwil później. Neon nad witryną nie świecił, choć Jacek miał własny agregat. Oszczędzał energię, żeby codziennie przez dwie-trzy godziny móc puszczać dość cicho muzykę na sali. Przez zakrytą kotarą szybę można było też dostrzec wąski pas migocącego światła. To lampy naftowe wróciły do łask.

- Uszanowanko – powitał mnie z uśmiechem, uchylając drzwi i dodał pośpiesznie: - Właż szybko, bo wpuszczasz zimno.

- Za to przynoszę ze sobą żywy ogień – odparłem, obnażając wnętrze kurtki, w której kieszeniach dwie litrowe butelki taniej whisky kołysały się wesoło.

Trochę im zazdrościłem.

Jedną oddałem Jackowi jako frycowe. Podziękował, po czym skierował się w stronę zaplecza, dając mi czytelny sygnał, żebym za nim poszedł, ale powstrzymałem go na chwilę gestem dłoni i ruszyłem w głąb, żeby zająć ulubiony stolik, który okupowałem dzielnie od czasów, kiedy Jacek wyrzucał mnie z niego jako siedemnastoletniego gówniarza, a z którym miałem tej nocy żegnać się godnie, siedząc przy nim do wątpliwego świtu i zasypiając nieprzytomny na jego przyjaźnie chłodnej powierzchni. Cóż, prawda jest taka, że już od dawna nie siłęm się na bycie przesadnie wysublimowanym.

Ku pewnemu zaskoczeniu okazało się, że ktoś zajął mi miejscówkę. Siedziała z podciągniętymi kolanami, opartymi o rant stołu i coś tam udawała, że czyta. Nigdy wcześniej jej nie spotkałem. Pomyślałem sobie całkiem literacko, że tylko tego mi, kurwa, brakowało.

Podszedłem do niej i powiedziałem, siląc się na stanowczy ton:

- To mój stolik.

Zupełnie bez pośpiechu dziewczyna wyjrzała zza książki i z wolna otaksowała mnie wzrokiem.

- Jest podpisany?

- Wokół jest jeszcze z tysiąc wolnych... - zacząłem, wskazując przynajmniej ze dwa.

- To może zajmij jeden z nich.

Westchnąłem dość długo i spojrzałem jej w oczy.

- Naprawdę, nie mam ochoty na towarzystwo – powiedziałem łagodnie, z właściwą sobie rezygnacją.

Dziewczyna rzuciła mi jeszcze jedno krótkie spojrzenie, wzruszając przy tym wymownie ramionami i wróciła do książki.

- Słuszna uwaga – wymruczałem. Rozłożyłem na stole papierosy, zapalniczkę, whisky i pęk kluczy, które włożyłem ze sobą bez sensu, po czym oddaliłem się w stronę zaplecza.

Rozmawialiśmy po cichu, ale nie szeptem. Z sali barowej dochodziły trochę stłumione dźwięki *Rainy night In Soho* w oryginale The Pogues. Jacek dziesięć najlepszych lat życia spędził, rozlewając Guinnessa w irlandzkich pubach. Był wielkim fanem.

- Cztery w zupełności wystarczą, ale dam ci sześć, dla pewności – powiedział, wręczając mi niewielką ampulkę. Potrząsnąłem, pastylki zagrzechotały wdzięcznie.

- Jesteś pewien, że nie chcesz poczekać do końca? – zapytał. – To już nie potrwa długo, widziałeś dzisiaj słońce.

- Widziałem. Już mi się znudziło.

Jacek wyglądał na szczerze zaskoczonego.

- Co?! Znudziło ci się? To jest powód? – dopytywał z niedowierzaniem. – Bo ci się znudziło?

- Posłuchaj – powiedziałem, kładąc rękę na jego ramieniu. - Została mi paczka papierosów i dwa litry wina w domu.

Jacek patrzył na mnie przez chwilę skonsternowany, szukając zrozumienia. W końcu oczy nieco mu się zaszklily. Chciałem uścisnąć go jak brata, albo chociaż jak ojca, ale widocznie nie była to nasza rzecz.

- No, już, na co czekasz? - powiedział. - Wypierdalaj z zaplecza.

Wróciłem do stolika. Usiadłem naprzeciwko dziewczyny, rozprostowałem nogi, wyciągnąłem Chesterfieldda z paczki i zapaliłem. Przemyślałem sprawę dopiero po chwili.

- Nie przeszkadza ci dym? – wyrecytowałem kurtuazyjnie wniosek.

- Nie przejmuj się – odparła zza książki beznamiętnym tonem. - I tak nie zdążę umrzeć na raka.

Zaśmiałem się przewlekłe, choć żart był stary i wcale nie taki dobry, a potem chwyciłem za whisky. Zdarłem sprawnie akcyzę, odkręciłem nakrętkę i napiłem się trochę. Potem podałem butelkę przez stół, a ta nie spotkała się z odrzuceniem, co nawet mnie ucieszyło. Butelka wróciła do mnie szybko trochę lżejsza, więc powtórzyliśmy schemat raz, drugi i trzeci.

- Nie jesteś z tych, co dużo mówią, co? – nie wytrzymałem w końcu.

- Po co mam mówić, skoro wszystko zostało już powiedziane?

Zaśmiałem się głośno i szczerze.

- O co ci chodzi?

- O nic. Też tak kiedyś każdemu powtarzałem.

Myślałem, że to ją podrażni albo spłoszy, ale ona tylko uśmiechnęła się do mnie dość smutno i nie pamiętałem czy tylko chciała mi powiedzieć czy rzeczywiście powiedziała mi, że to wszystko przez to, że brakuje jej choć jednej myśli, w którą mogłaby szczerze uwierzyć.

Odkręciłem butelkę i pociągnąłem dwa razy.

- Co robiłeś wcześniej?

- To samo, co teraz.

- A co niby teraz robisz?

- Piję.

- I jesteś z siebie dumny...

- Nieszczególnie.
- Idziesz na łatwiznę.
- Co masz na myśli?
- Powiedzieć życiu: „Poddać się! Chodźmy na piwo”. To łatwe. Tchórzowskie.
- Zgadza się. Chcesz łyka?
- Jasne.

Byliśmy już oboje całkiem pijani, kiedy poprosiłem ją do tańca. Muzyka była dość poważna, a ja nigdy nie potrafiłem złapać rytmu.

Kołysaliśmy się przez dłuższą chwilę. Ona szeptała mi coś do ucha, ja piłem whisky za jej plecami, potakując i manipulując ampułką w kieszeni. Potem zacząłem się chwiać. W końcu przewróciłem się na nią i przez długi czas wycierałem podłogę, gasząc na niej papierosy.

Kiedy wyszliśmy od Jacka jakoś po czwartej, wtuliliśmy się w siebie na środku ulicy, ogrzewając wzajemnie.

- To co? – zapytałem, siląc się na szelmowski ton. – Pójdziemy do mnie?

- Po co?

- Nie wiem... Posłuchać płyt?

Zaśmiała się. Wypuściłem ją z objęć.

- Naprawdę masz na to ochotę? – spytała.

Zastanowiłem się.

- Nie – odpowiedziałem, pocierając skroń. – Jestem zmęczony.

Staliśmy tak jeszcze trochę bez słowa, tylko patrząc na siebie. Zastanawiałem się, czy to ja jestem taki pijany, czy to ona taka piękna. Wypiłem całkiem dużo, pomyślałem sobie.

- To do zobaczenia – powiedziała w końcu.

- Ta – odparłem. - Do zobaczenia.

Po czym oboje odwróciliśmy się na pięcie i poszliśmy w przeciwne strony.

Zdążyłem ujść ledwie kilkadziesiąt metrów, gdy wśród nocnej ciszy usłyszałem znajome grzechotanie w oddali. Znieruchomiałem nagle i gorączkowo wymacałem dłońmi puste kieszenie. Zakląłem głośno. Potem odwróciłem się szybko, ale jej cień ginął już w mroku.

Śmiejąc się po cichu, odprowadziłem go wzrokiem, aż znikł zupełnie za rogiem.

Wróciłem do domu, usiadłem przed komputerem, odpaliłem wino i zacząłem czekać na wschód, który nigdy nie nadejdzie.

Poszedłem na balkon, okutany w koce. Zapaliłem tam papierosa, pomyślałem evviva l'arte i et cetera, a wróciwszy, wystukałem pierwsze słowa na klawiaturze. Skroiliśmy szpetną historię tej ciemnej nocy. Teraz pójdę spać. Może się nie obudzę.

Errata: patrzę właśnie przez okno i widzę jasną lunę nad horyzontem. Zmieniłem zdanie. Słońce jednak wszędzie. Zaczynam myśleć, że być może trochę to wszystko przedramatyzowałem. Kiepsko znoszę długie zimy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Tukas, dodano 01.04.2013 12:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.